

wszystko, tylko nie to! Staralem się odeprzeć od siebie podobne myśli, lecz nie opuszczały mnie one. Wreszcie nie wytrzymałem, złapałem kapelusze i wybiegłem z domu, by dogonić Klaweringa i zapytać go, co znaczący jego słowa. Na ulicy już go nie było; poszłem trochę, rozejrzałem się na wszystkie strony i wróciłem do swego gabinetu.

Nigdy jeszcze nie włókł się dla mnie czas tak wolno, jak tego dnia. Wybiła na koniec piąta godzina i pospieszyłem do Hofman-House, by odszukać tam Klaweringa. Ku swemu zdumieniu dowiedziałem się tam, że już odjechał na statku do Liwerpoolu. Wizyta jego u mnie była zapewne ostatnią przed odjazdem. Nie chciałem z początku wierzyć temu, lecz gdy odszukałem doróżkarza, który go wioził i gdy dowiedziałem się od niego, że Klawering odemnie pojechał wprost do przystani, musiałem wreszcie uwierzyć, że to nie sen, lecz rzeczywistość.

Wstydzilem się swej nieprzezorności. Przez całą prawie godzinę rozmawiałem z człowiekiem, którego mogłem zupełnie słusznie podejrzewać o zabójstwo i wypuściłem go od siebie najspokojniej, mimo iż bez żadnych trudności mogłem kazać go aresztować. Pierwszym moim obowiązkiem było pojechać teraz do Grysa i opowiedzieć mu wszystko od początku do końca.

Wybiła szósta godzina. O tej porze winien zjawić się u mnie Havel i nie mogłem, ma się rozumieć, zaniechać tak ważnego spotkania. Posłałem do Grysa depeszę, oznajmiając mu, że wieczorem będę u niego, poczem wróciłem do domu. Havel czekał już na mnie. Co on mi powie? Myśl ta przejmowała mnie niepokojem, który z trudem tylko skrywałem. Mimo to powitałem sekretarza jak najuprzejmiej i poprosiłem, by powiedział mi wszystko, co wie.

Okazało się jednak, że nie ma nic do powiedzenia. Przyszedł tylko przeprosić mnie za słowa, jakie wyrwały mu się w chwili silnego podrażnienia: dowieść ich nie może, gdyż wypowiedział je zupełnie bezwiednie.

— Musiał pan jednak mieć — odezwałem się — jakieś dowody do podobnego oskarżenia, przecież nie można przypuszczać, że pan doznał chwilowego pomieszczenia zmysłów?

Zmarszczył na to posępnie brwi i tonem brzmiałym prawie wrogo, rzekł:

— Dlaczego pan tak sądzi? Gdy człowieka przejmie coś tak silnie, może wtedy mówić i działać bez żadnych podstaw; nie dowodzi to jednak, by człowiek ten dostał pomieszczenia zmysłów.

— Lecz cóż pana tak przejęło? Najprawdopodobniej pan już znał Klaweringa, w przeciwnym razie nie wywariby on na pana takiego wrażenia.

Stukał nerwowo palcami po poręczach krzesła, koło którego stał, nic jednak nie odpowiedział.

— Niech pan siada — rzekłem rozkazującym tonem. — Jest to bardzo ważny fakt, który musimy rozpatrzyć jak się należy. Pan już przyrzekł mi opowiedzieć wszystko, co pan wie i co wogóle może przyczynić się do ocalenia miss Eleonory.

— Mówiłem już panu — odpowiedział oschle — iż wyznałbym wszystko, gdybym tylko wiedział coś, co mogłoby przynieść korzyść miss Eleonorze.

— Proszę bez wykrętów — przerwałem mu — pan wie coś i w imię prawa żądam, by pan powiedział wszystko, co panu wiadomo.

— Myli się pan — burknął przez zęby — ja nic nie wiem. Mogę mieć tylko podejrzenia, lecz na ich podstawie nie wolno mi obwiniać o ciężkie przestępstwo człowieka, który, bardzo być może, nic nie jest winien.

— Lecz pan w mej obecności obwiniał o tę zbrodnię pana Klaweringa, mam przeto prawo żądać od pana wyjaśnienia, jak pan śmiał rzucić na niego tak straszne oskarżenie.

— Okazuje się, że pan jest silniejszy odemnie — rzekł już spokojniej — i chociaż bardzo mi to przykro, widzę się zmuszonym do spełnienia pańskiego żądania i opowiedzenia wszystkiego, co mi przychodziło do głowy.

— W takim razie powstrzymywała pana od te-

go tylko myśl, że człowiek, którego pan podejrzewa, może być niewinnym?

— Tak, to, a również i ta okoliczność, iż nie mam żadnych dowodów.

— Ten skrupuł niech pan już mnie pozostawi.

— Panie Rymond — zaczął niepewnie — pan jest doskonałym adwokatem i prawdopodobnie człowiekiem praktycznym i trzeźwym i dlatego nie zdarzyło się panu zapewne, by pan czuł w powietrzu zbliżające się niebezpieczeństwo, by panu zdawało się, iż w ciszy nocnej pana śledzi jakiś niewidzialny wróg?

Pokręciłem głową, gdyż absolutnie go nie rozumiałem.

— Wobec tego pan nie może wyobrazić sobie, co ja przecierpiałem w ostatnich trzech tygodniach — dodał.

— Pan mi wybaczy — zauważyłem — lecz jeżeli ja sam nie doznawałem nic podobnego, to to nie znaczy jeszcze, bym nie mógł zrozumieć, że kto inny może podlegać wrażeniom.

— Kiedy tak, to pan nie będzie się śmiał z te-

jakiś szum. I oto ujrzałem — ciągle jeszcze we śnie — jak do biblioteki zakradał się po cichu jakiś wysoki, rosły mężczyzna. Z ciekawości pospieszyłem za nim. Rzecz dziwna, lecz w chwili tej zdawało mi się, że ja nie jestem Havel, lecz master Lavenfort, że siedzę przy biurku i czuję zbliżające się niebezpieczeństwo, lecz nie jestem w stanie poruszyć się. Siedziałem zwrócony plecami do przestępcy, wyczuwałem jednak doskonale, jak on zadrżał się przez sypialnię, jak otworzył szufladę nocnego stolika i wyjął rewolwer, słyszałem każdy krok mordercy, dopóki nie znalazł się na progu drzwi, wiodących do biblioteki. W uszach drgał mi zgrzyt jego zębów, gdy naciskał kurek, widziałem każdy rys jego twarzy. To był — Klawering.

W pierwszej chwili siedziałem przejęty jakimś panicznym strachem, potem jednak wzbudziło się we mnie niedowierzanie. Popatrzyłem na Havela i zapytałem:

— I wszystko to widział pan w przeddzień zabójstwa?

— Tak było to przecucie — wyszeptał.

— Wówczas jednak nie przypisywał pan temu takiego znaczenia?

— Nie, gdyż wogóle miewam dość często straszne sny i ten sen uznałem za przepowiednię dopiero po zabójstwie Lavenforta.

— Wobec tego nie dziwię się już teraz niezrozumiałemu pańskiemu zachowaniu się na śledztwie.

— Tak, musiałem bardzo uważać na siebie, by nie zdradzić się z czemś odnoszącym się tylko do mego snu a nie do rzeczywistości.

— I sądzi pan, że zabójstwo odbyło się właśnie tak, jak pan to widział we śnie?

— Tak, jestem o tem przekonany.

— W takim razie należy tylko żałować, że sen pański nie trwał dłużej i że pan nie widział, jaką drogą wymknął się z domu zabójca.

Zaczerwienił się i odparł ironicznie.

— Istotnie. Bardzoby się to przydało; możebym dowiedział się także wtedy, co stało się z Dżen i dlaczego człowiek zupełnie obcy w tej rodzinie, a przytem bogaty i absolutnie niezależny odważył się na podobny postępek.

— Czyż pan tak dobrze zna wszystkich, kto bywał w domu Lavenforta?

— Doskonale znam wszystkich odwiedzających ten dom: dotychczas pan Klawering nie przychodził jeszcze nigdy.

— Czy pan towarzyszył kiedy panu Lavenfortowi w jego wyjazdach na letnie mieszkanie lub do miejsc kuracyjnych?

— Nie — odpowiedział sekretarz.

— A przecież on, zdaje się, często podróżował?

— Owszem.

— Czy może mi pan powiedzieć, gdzie on był latem zeszłego roku ze swymi kuzynkami?

— Mieszkali w znanym miejscu kuracyjnym K. i dość długo tam przebywali. Czy pan sądzi, że on tam poznał się z niemi? — zawołał niespodziewanie, wpatrując mi się w twarz.

Nawzajem i ja popatrzyłem mu prosto w oczy i rzekłem znacząco:

— Panie Havel, widzę, że pan więcej wie o tym człowieku, niż pan mówi. Lepiej, niech pan nie ukrywa nic i mówi całą prawdę.

— Wiem o nim tylko to, co już powiedziałem, lecz jeżeli postanowił pan zająć się poważnie tą sprawą...

Przerwał i w milczeniu spojrzał na mnie z zapytaniem w oczach.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Potem zwracając się ku mnie rzekł z widocznym wzruszeniem...

go, co panu powiem. W przeddzień śmierci pana Lavenforta widziałem we śnie całą scenę jego zabójstwa. Widziałem, jak go zabito, jak... — głos jego drgnął i szeptem, ledwie dosłyszalnie dokończył: — Widziałem nawet twarz mordercy.

Zadrżałem bezwiednie i spytałem:

— I to był?

— To był człowiek, którego oskarżyłem o zabójstwo starca tylko na podstawie swego snu.

— Niech mi pan opowie swój sen — poprosiłem go.

— Było to w wilię zabójstwa — zaczął drżącym lekko głosem — wieczoru tego położyłem się spać w najlepszym usposobieniu, powiedziano mi bowiem przedtem kilka miłych, serdecznych słów, które tak rzadko słyszę na swym skromnym stanowisku domowego sekretarza. Zasnąłem zaraz miłym snem. Naraz usłyszałem, jak ktoś mnie woła: „Trumen! Trumen! Trumen!“ Podniosłem się na pościeli i ujrzałem przed sobą kobietę. Twarz jej była mi nieznana, lecz teraz nawet mógłbym jeszcze opisać ją w najdrobniejszych szczegółach. Patrzyła na mnie przestraszonymi, błagającymi oczami, choć usta jej były zawarte. Jakby pod wpływem jej niemej prośby wstałem z pościeli. W tej chwili widzenie znikło, lecz natomiast doleciał mnie z dołu z korytarza